

R A D E K

RAK

AGLA



— *Aurora* —

ilustracje Igor Myszkiewicz



powergraph

Warszawa 2023

Copyright © 2023 by Radek Rak
Copyright © 2023 by Powergraph
Copyright © 2023 for cover by Igor Myszkiewicz i Jan Kosik
Copyright © 2023 for endpapers by Igor Myszkiewicz i Rafal Kosik
Copyright © 2023 for illustrations by Igor Myszkiewicz
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Marta Kładź-Kocot
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Okładka: Igor Myszkiewicz i Jan Kosik
Wyklejka: Igor Myszkiewicz i Rafal Kosik
Ilustracje: Igor Myszkiewicz
Projekt graficzny i opracowanie: Rafal Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-67845-14-4

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA
Printed in Poland, EU

„W przyrodzie organizmy żywe podlegają naturalnym cyklom o wiele bardziej niż my. Nie są jednak zupełnie im podporządkowane. Życie ma to do siebie, że w przebiegu ewolucji coraz bardziej wyzwala się od bezpośredniego dyktatu świata nieożywionego i osiąga znaczną samodzielność.

Proces ten możemy nazwać również emancypacją organizmów od dyktatu środowiska”.

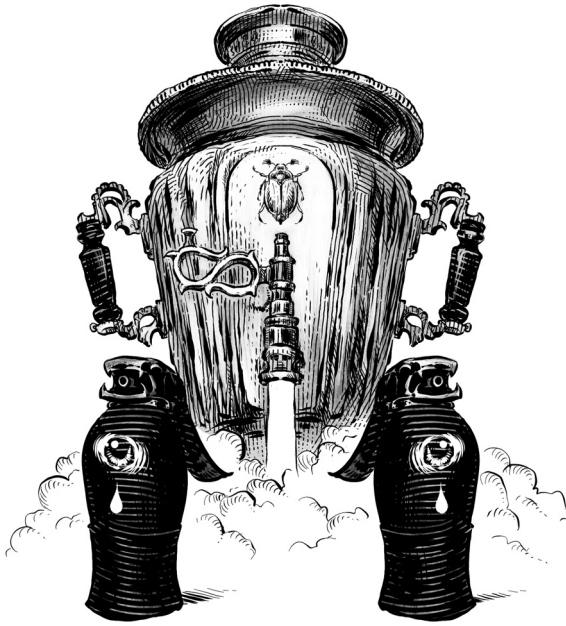
Josef H. Reichholf

Przekład Joanny Gilewicz

„Porzuć wszystko, znajdziesz wszystko”.

Tomasz à Kempis

CZĘŚĆ PRZEDZIA



Rozdział I

*W^o którym dokonuje się ucieczka z więzienia
i je się sędzi*

Tymian Dymitrowicz Drakow zamknięty był w klatce.

Zapadł styczniowy wieczór i mrok już zupełny okrył Tybil, a za oknami snuły się całuny żółtej mgły. Matka Tymiana, pani Pelagia Drakowowa, przyniosła do jego celi i miejsca wygnania lekką kolację i herbatę z konfiturą, tak jak lubił najbardziej. Czy może raczej: tak jak najbardziej lubił w dzieciństwie, zupełnie jakby jego matka zatrzymała się w czasie na etapie, gdy Tymian miał góra dziesięć lat. Takie rzeczy potrafią przydarzyć się nawet najlepszym matkom.

Tym bardziej że – jak sobie Tymian poniewczasie uświadomił – miał naprawdę dobre dzieciństwo. I chyba byli wtedy szczęśliwi. Jego matka Pelagia, jego ojciec Dymitr, no i on sam. Było to dawno temu.

Metalowa tacka z kolacją i herbatą brzdęknęła cicho.

— Uczysz się jeszcze?

— Mhm. — Nie podniósł wzroku znad *Trójkształtnej myśli pierwszej*. Od godziny siedział nad tym samym akapitem i nadal nie rozumiał, co czyta. Słowa rozsypywały się i nie chciały poukładać w żadne sensy.

— Nie siedź tak po ciemku. — Pelagia podkręciła knot lampy naftowej, rozsiewając wkoło złocisty blask.

— Mamo.

— No już, już. Bo mi całkiem oślepniesz.

Pelagia wyszła, a Tymian powrócił do nieczytania dzieła zadanego mu przez Ozyrysa Oświeconego von

Loewensteina. Zaraz też na nowo przykręcił knot, tak, by lampa dawała tylko nikłe światło; nadmierna jasność wprawiała Tymiana w jeszcze głębszą irytację.

Wstał, zrobił parę kroków po pokoju, wyjrzał przez wychodzące na podwórze okno. Jeszcze wczoraj leżała tam cieniutka pierzynka śniegu, ale dziś temperatura podskoczyła mocno powyżej zera i cała biel zmieniła się w mokrą czern. Bezlistna brzoza chwiała się na wietrze. Za nią wznosił się mur, dalej nasyp kolejowy, a za nasypem masyw Kolegiaty Czystego Serca z pojedynczą strzelistą wieżą z czerwonej cegły. Ponad nią coś rozbłysło nagłą zielenią; technomanci z Wielkiej Huty nieustannie prowadzili eksperymenty, niejednokrotnie kończące się gwałtownym nadejściem Dni Ciemności. Przez chwilę Tymian obawiał się, że i tej nocy skończy się podobnie, ale zorza potańczyła nad miastem krócej niż minutę i rozplynęła się w mroku. Na niebie, porudziałym i spłowiałym od blasku miasta, znów było widać pojedyncze gwiazdy.

Tymian odetchnął z ulgą. Nastanie Dni Ciemności spowodowałoby konieczność ciągłego przebywania w domu. Ciasnota jego klatki stałaby się wówczas nie do zniesienia.

Klatka Tymiana nie miała bowiem prętów ani łańcuchów krępujących ruchy. Nie takich ze stali czy z kutego żelaza. To była klatka zupełnie innej natury, taka, która siedzi głęboko w głowie i którą nosi się ze sobą wszędzie, dokąd tylko się pójdzie. Większość ludzi żyje w takich klatkach, ale moment uświadomienia sobie własnego uwięzienia zawsze przynosi cierpienie. Tymian przeczuwał istnienie prętów i okowów, ale dopiero przed kilkoma dniami dotarło doń, z czego są one wykonane.

Nie z nadopiekuńczości matki. Nie z cichej, podszytej drwiną pogardy ojca. Więzy Tymiana wykute były z tchórzostwa. I to on sam latami pieczołowicie pracował

nad każdym kółkiem tego łańcucha. Cała reszta – ojciec, matka, nauczyciele, wszyscy ludzie – to był tylko ogień, w którym hartowała się materia tych kajdan.

Zwykle gdy nachodziły go takie myśli, Tymian uciekał z domu. Niedaleko i nie na długo, bał się bowiem sprawić przykrość matce. Najczęściej nocą, tak, by nikt nie wiedział. Drakowowie zajmowali trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze domu Pod Orłem, wygodne, lecz nie nadmiernie reprezentacyjne, bo na ulicę wychodziło wyłącznie okno salonu. Ze swego pokoju Tymian mógł się więc łatwo wymknąć na podwórze. Z początku nie wyprawiał się dalej niż do ogrodu Kolegiaty Czystego Serca, a czasem jednak jego wędrówki stawały się dłuższe i dalsze. Aż do Szkieletora.

Bardziej szczęściu niż sprytowi zawdzięczał, że nikt go podczas tych eskapad nie przyłapał, ani milicja, ani andrusy, czyli po prostu zbóje.

Teraz jednak Tymian wiedział aż nazbyt dobrze, że gdziekolwiek by ruszył, wyrzuty sumienia podążą za nim krok w krok, że niczym gończy pies wytropią go, dogonią i dopadną. I nie mógł opędzić się od wspomnienia Sofji Kluk. Teraz Sofja już nie żyła lub w najlepszym wypadku była w drodze do łągru. Wszystko przez niego, bo to jego, nie Sofję, powinna aresztować ubecja. Sofja zaś wzięła na siebie całą winę Tymiana. Jasne, miała w tym swój cel, nie uczyniła tego przecież ze względu na niego, w końcu ledwie się znali i chyba nawet niezbyt go lubiła. Ale postąpiła tak, jak on sam nigdy by się nie odważył, o czym wiedział teraz aż nazbyt dobrze.

Kiedy wczesną jesienią zaginęła Elza Fiszer, Tymian nie wierzył jeszcze w swoje tchórzostwo. Był przekonany, że gdyby tylko stanął twarzą w twarz z tymi, którzy ją skrzywdzili, rozerwałby ich na strzępy. Wymyśliłby jakiś

sposób, aby cierpieł; może połamałby im ręce i nogi, tak, by musieli pełznąć jak ślimaki, a on stałby nad nimi i nic nie mówił, tylko patrzył. Wizyta bezpieki w domu Naamy Ponurakowej wybiła mu z głowy wszelkie sny o potędze. Gdy zabierano Sofję na Hrad, Tymian siedział w sąsiednim pokoju cicho jak trusia, bojąc się zdradzić swoją obecność bodaj głębszym oddechem. Ujrzał wtedy siebie tym, kim jest. Tchórzem.

Przebywanie w samotności stało się udręką. Brzydził się sobą.

Zza ściany dobiegły podniesione głosy. No tak. Ojciec wrócił.

Tymian niechętnie powlókł się do rodziców. Kiedy był z nimi, kłócili się rzadziej i mniej gwałtownie. A jeżeli posiedział z nimi wystarczająco długo, rozpalone głowy Pelagii i Dymitra przestawały parować złością i wzajemną niechęcią i w domu Drakowów na nowo nastawał niepewny spokój.

Zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie. W środku ojciec rozgrzebywał żar w kominku. Matka stała pod oknem z twarzą opuchniętą od płaczu. Płakała, gdy była smutna, i płakała, wpadając w gniew. Po tylu latach Tymian nauczył się rozpoznawać przyczynę; tym razem był to smutek.

— Dobry wieczór, ojcze. Nalać ojcu herbaty?

Dymitr wyprostował się, otarł zmarszczone czoło. Tymian, nie czekając na odpowiedź, ruszył do wnęki kuchennej i sprawdził, czy samowar dobrze grzeje. Na wszelki wypadek dorzucił bryłkę węgla drzewnego, bo ojciec lubił gorący czaj, niemal wrzący.

— Tylko mocną zrób — mruknął Dymitr Dajmonowicz Drakow. Tymian wiedział, że w jego ustach „mocna” znaczy cierpka i długo parzona. Taką też zrobił i nalał

do szklanki niemal samą esencję, dodając tylko niewielką ilość wody. Herbatę dla matki rozcieńczył znacznie bardziej i dodał do niej wody różanej. Widział dobrze, że wymowne milczenie rodzicielki oznacza: „Mnie też zrób, tylko nie taką siekierę jak ojcu”. Zlekceważenie tego milczenia mogłoby się skończyć wyrzutami lub łzami, a ani jednego, ani drugiego Tymian nie potrafił znieść.

Szklanki zadzwoniły na niewielkim stoliku. Dymitr siorbnął pierwszy, dopiero po nim Pelagia, no i Tymian, który herbaty nie lubił, ale wiedział, że powinien napić się z rodzicami, bo sprawiało im to przyjemność. O tej porze Drakowowie byli już w mieszkaniu sami; służąca Polda wychodziła zaraz po południu, bo pensja Dymitra nie wystarczałaby na opłacenie stałej służby; już szofer Józef stanowił wystarczający wydatek. Trochę wynikało to też z zazdrości pani Pelagii, która nie zniosłaby, gdyby pod jej dachem nocowała inna kobieta. Prawdę mówiąc, żyłasta i podstarzała Polda nie wyglądała, jakby mogła bałamucić jej dość przystojnego męża i dojrzewającego syna.

— Nauczyłeś się już wszystkiego, co zadał ci profesor von Loewenstein? — zapytała matka.

— Prawie — skłamał Tymian.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Ja nie wiem, czego oni na tej Akademii wymagają, siedzisz do późna, a przecież takie zdolne dziecko z ciebie.

— Przecież on z palcem w dupie dostanie się na te studia — mruknął Dymitr, nie podnosząc wzroku znad popołudniówki.

— A ty też byś się może własnym dzieckiem trochę zainteresował.

— Co? O co ci znowu chodzi?

— O co chodzi, o co chodzi — przedrzeźniała go Pelagia karykaturalnie grubym głosem. — O to, byś się wywiedział, czy profesor von Loewenstein będzie w tym roku egzaminował. Bo jeśli nie, to nie ma sensu płacić mu za korepetycje. Trzeba wtedy dojść, kto zostanie egzaminatorem, i posłać Tymiana do niego na lekcje. Nie ma za wiele czasu. Kto wie, jak to będzie teraz, gdy nie żyje profesor Kora. Dobre moce, taka porządna kobieta... Co to będzie, co to będzie?

— Będzie to, że gruby von Loewenstein nareszcie zaczerpnie trochę powietrza.

— Dobrze, że przynajmniej twój syn nie odziedziczył po tobie bezduszności.

Stary Drakow w odpowiedzi siorbnał tylko czaj i wrócił do przeglądania wiadomości sportowych.

— No i coś się tak zaczytał?

— Bo hokeiści Korony znowu przerżnęli na wyjeździe z Żagwią Ołomuniec. Było nie wystawiać Chrobaka i Yarny do ataku. Młode szczyły, pierwszy sezon w drużynie, a teraz nagle wielkie zdziwienie. No, żaden by się nie spodziewał, żaden. A potem będą odwoływać trenera po raz trzeci w sezonie. Tak się skończy, że wylecą z ligi.

— Ciebie nic nie obchodzi przyszłość własnego syna.

Drakow powolnym ruchem odsunął od siebie gazetę. Na czoło wystąpiła mu burzowa chmura.

— Miasto jest na krawędzi rewolucji, a ciebie interesują jedynie korepetycje dzieciaka?

— Dzieciaka. Tak o swoim synu mówisz? I jakiej znów rewolucji, to z Loewensteinową to był przecież nie-szczęśliwy wypadek. Dobrze, że nie trzymamy goblinów w domu.

— Tego właśnie nie wiem jakiej rewolucji. Czy prawdziwej, takiej, która będzie kosztowała życie wielu ludzi,

czy raczej takiej, w którą bawią się jacyś gówniarze, nie wiedząc, że jak ta petarda pierdolnie, to im pierwszym pourywa łapy, a może nawet i łby. Dosłownie. Bez metafor.

Tymian drgnął. Pocztał, że trzęsą mu się ręce, schował więc dłonie pod stołem. Trwożnie zerknął na ojca, lecz ten nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Czy to możliwe, aby wiedział?

— Nie opowiadaj takich rzeczy, straszysz dziecko. Zaraz, dokąd ty idziesz? Dymitr? Dymitr, zjedz coś chociaż!

— Na mieście zjem. Nie czekaj, nie wiem, o której wrócę.

I ojciec wyszedł, zabrawszy kapelusz i płaszcz. Trzasnęły drzwi. Po obliczu Pelagii popłynęły ciche łzy. Tymian musiał ją pocieszać przez blisko kwadrans, zanim wreszcie się odezwała.

— Jak to dobrze, że nie jesteś taki jak twój ojciec — powiedziała, przytulając go mocno. — Jesteś moją ostatnią nadzieją.

W odpowiedzi Tymian pogłaskał matkę po plecach z pełną zażenowania czułością.

— A niech idzie do tej swojej dziwki — łkała Drakowowa. — Tylko siebie mamy na świecie, Tymianku. Pamiętaj o tym. Ty mnie, a ja ciebie.

Chłopak poczekał, aż matka chociaż trochę się uspokoi, co trwało dość długo. Było już późno, gdy wrócił do swojego pokoju. Nad blaszaną umywalką opłukał twarz i umył zęby. Posiedział w ciemności, nasłuchując, czy w sąsiednim pokoju ucichły już odgłosy matczynej krzątaniny. Kiedy nastał spokój, poczekał jeszcze trochę i dopiero wtedy wydobyl spod łóżka ocieplaną milicyjną kurtkę i buty z wysokimi cholewami. Wyszedł przez okno i przykucnął na parapecie. Zamknął okno za sobą, ale pod framugę wcisnął gruby drut, by móc je potem

łatwo otworzyć od zewnątrz. Siąpił deszcz ze śniegiem, więc Tymian postawił kołnierz, wygrzebał z kieszeni skórzane rękawice i cicho jak łasica zeskoczył na kompostownik poniżej. Trzymał się cieni, bo w stróżówce paliło się światło. Najwyraźniej dozorca rznął w karty z panem Józefem, zajmującym jednoizbowe mieszkanie w oficynie.

Był już pod murem, po drugiej stronie podwórza, gdy drzwi stróżówki otwarły się gwałtownie. Pan Józef i pan cieć wyszli zapalić, dyskutując podniesionymi głosami.

— Pierońskiego miałeś pan farta. Nic, tylko fart, jak jasny pieron!

— Czekajże, Józiu. Tam ktoś po nocy łązi.

Stróż poświecił Tymianowi latarką po oczach.

— Aaa, pan Dymitrowicz. Na dziewczyny się wymykamy, e?

— Na dziewczyny — przytaknął Tymian niechętnie. Po co miał tłumaczyć pewne sprawy dozorczy, który i tak niczego by nie pojął. Rewolucja, o której śnił młody Drakow, pozostawała poza rozumieniem ciecia, ilekroć więc stróż przyłapywał Tymiana, tylekroć ten opowiadał jakieś bzdury o dziewczynach. Póki żyła Elza Fiszer, miało to jakiś sens, ale teraz każda myśl o innych dziewczynach sprawiała mu ból.

Ze źle ukrywanym obrzydzeniem Tymian wcisnął w rękę stróża ćwierćkoronówkę. Tamten chuchnął w nią i schował do kieszeni. Po krótkim namyśle Tymian dał drugą panu Józefowi.

— Niech pan tylko wróci przed świtem, panie Dymitrowiczu. Jak pan zastuka trzy razy po trzy razy, wpuszczę pana przez bramę. Po co tak ryzykować z wchodzeniem przez okno.

— Dzięki za radę — burknął Tymian i zręcznym susem przesadził mur. Kiedy ruszył wzdłuż nasypu, przyszło mu do głowy, że ani szofer, ani cieć nie doceniliby jego walki o lepszą przyszłość dla wszystkich. Nie pierwszy raz w życiu nawiedzały go takie myśli. Czuł, że w świecie po rewolucji czekać go będzie samotność. Tę cenę Tymian był jednak gotów zapłacić za nowy, sprawiedliwszy świat. Do wielkich spraw potrzeba wielkich samotników.

Tymczasem dozorca pożegnał pana Józefa i wrócił do siebie, gdzie do późnej nocy pisał wiersze. Był to bowiem nie byle jaki dozorca, bo przecież nie ma byle jakich ludzi, a świat jest tak urządzony, że czasami ze stróżowania da się wyżyć godniej niż z pisania.

Idąc wzdłuż torów, można było dojść do budynków gospodarczych Dworca Carskiego i do baraków, gdzie za dnia sprzedawano kiełbaski w bułce. Brzuch po nich zwykle bolał przez dwa dni, choć sprzedawca zapewniał, że gardło by sobie dał poderżnąć za ich najpierwszą jakość. Tymian początkowo chciał tu odbić na wschód, ku Szkieletorowi, ale tam nie czekało na niego nic oprócz wspomnień, on zaś już zbyt wielką część życia strawił na rozmyślaniach. Skręcił więc w lewo, na zachód, minął parę ciasnych uliczek i wyszedł na rozległy plac w rejonie ulicy Krokodyli. Mimo późnej pory w jednym z wielkich pałaców przy placu w oknach wciąż paliło się światło. Na Wydziale Sztuk Wyzwolonych życie toczyło się przez całą dobę, bo i kadra złożona z artystów, i żacy aspirujący do tego miana niewiele dbali o to, która jest godzina.

Okna studenckich pokoi znajdowały się na tyłach, w suterrenach i na parterze. Władze wydziału powinny zapewne wziąć pod uwagę skłonność studentów do wymykania się nocami na miasto. Najwyraźniej jednak ktoś doszedł do przytomnego wniosku, że młodych nie

powstrzyma nawet umieszczenie ich na strychu, a tak przynajmniej nikt nie zabije się ani nie połamie przy próbie ucieczki po rynnie albo przez dach, zwłaszcza po pijaku.

Tymian znalazł niewielki kamyczek i rzucił w znajome okno na wysokim parterze. Wyjrzała z niego jakaś rozczochrana dziewczyna.

— Czego chcesz?

— Nem jest?

— Nem?

— Mirka znaczy.

— Mirka, twój chłopak przyszedł.

— Który? — rozległ się ochryply śmiech z głębi.

— Ten ładny taki, wiesz.

— Wszyscy są ładni.

Nemezis wychyliła się przez okno i osłupiała.

— Samael?

— Ciszej, Nem — syknął Tymian i rozejrzał się niepokojnie, jakby bojąc się, że ciemność zaułka może ich podsłuchiwać.

— Myślałam, że cię zabrali do... no wiesz.

— Nie mnie zabrali.

— O. Co ty mówisz?

— Wyjdiesz tu do mnie?

— Czekaaj, ubiorę się tylko.

— No, bo strasznie jesteś rozchełstana.

— Znalazł się, kurna, świętoszek.

— Zimno jest i pada.

Nemezis narzuciła studencki płaszcz, omotała się szalikiem, bardzo gryzącym z wyglądu, przełożyła nogi przez parapet i zeskoczyła prosto w największą kałużę. Tymian odsunął się w ostatniej chwili.

— Dokąd idziemy? — spytała.

— Dokądkolwiek. Byle daleko.

Poszli więc na Planty, trzymając się ciemnych zakamarków, aby nie wejść w oczy ani andrusom, ani milicji. Tym drugim nawet bardziej, bo zaraz zaczynała się godzina milicyjna, a Tymian nie miał przepustki uprawniającej do wstępu w tę część Plant.

— Towarzysz coś dziś w strasznie pochmurnym nastroju — zauważyła Nemezis, bo Tymian nie odzywał się wcale.

— Bo to ja powinienem tam być.

— E?

— W łagrze.

I opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich dniach. No, prawie. Przemilczał swoje zachowanie podczas aresztowania Sofji w domu Naamy. Każda szczerłość ma swoje granice.

— No i co z tego? — zapytała studentka, gdy Tymian skończył. — Ona jest tam, ty tu. I dobrze się stało, bo tutaj jesteś potrzebniejszy. Żaden byłby z ciebie pożytek, gdybyś gnił w łagrze.

— Dzięki, Nem.

— Spoko. — Dziewczyna albo nie wyczuła ironii, albo wcale jej to nie obeszło. — Masz jakieś wieści od Matki Rewolucji?

Tymian przecząco pokręcił głową.

— Nic od dłuższego czasu.

Nemezis nie wyglądała na specjalnie tym przejętą.

— To myślę, że trzeba czekać. Odpoczywać, póki się da. Rewolucja nas nie porzuci, mamy przecież osiągnięcia.

— Mówisz o Korze von Loewenstein?

— A o kim? To prawie tak, jakbyśmy sami ją zjedli. — Roześmiała się, ukazując dwa złote zęby i puste miejsce po trzecim. Tymianowi wcale nie było do śmiechu.

— Masz rację. Czuję się, jakbym rzeczywiście zjadł Loewensteinową.

— I najwyraźniej ci zaszkodziła. Musisz mieć po niej straszną zgagę. Chcesz zajarać?

— Nie, dzięki.

— A ja owszem.

— Tylko nie dmuchaj na mnie. — Nie chciał, by matka wyczuła od niego rankiem zapach tytoniu albo konopi, ale nie mógł tego przecież powiedzieć Nemezis bez narażania się na śmieszność. Rewolucjonista Samael drżący przed własną matką! Nie, tego dziewczyna by nie zrozumiała.

— Masz ten list? Ten od raka?

Wyciągnął wymiętą i nadpaloną kartkę z kieszeni kurtki. Studentka przebiegła go wzrokiem w rozproszonym świetle latarni i zaraz oddała:

— Wieża Swedenborga. Gdzie to jest? — spytała.

— Myślałem, że może ty wiesz.

— To był jakiś kolejny pokrecony czarnoksiężnik, ten Swedenborg, nie? Skądś z północy.

— Aha. Tyle też wiem. Dałabyś radę poszukać czegoś więcej w Akademii?

— Ma to jakiś związek z Rewolucją?

— Nie wiem. Chyba nie — przyznał Tymian.

— Ech, no dobra. Jak znajdę czas, to poszukam. Idziesz na kawę?

— O tej porze wszystko już będzie zamknięte.

— Nie tak znów wszystko. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. Jest taki jeden hejmański konwertyta po drodze do fabryki czekolady. Sprzedaje kawę i chleb z soloną słoniną. Zorzynek mi mówił.

— Kto?

— Taki typ. Chodź, chodź.

Daleko nie uszli. Na Maga Zyblika, tuż przy nowej kamienicy, gdzie mieszkali Ponurakowie, dwóch rosnących drabów kopało leżące na ziemi człowieka. Człowiek był drobny i kulił się tak, że zdawał się jeszcze drobniejszy. Mężczyźni dyszeli i co rusz ocierali pot z czoła; wymierzanie kopniaków najwyraźniej było męczącą pracą, lecz oni oddawali jej się z dokładnością i zaangażowaniem.

— Ej! Zostawcie go! Tak, do was mówię! — wykrzyknął Tymian.

— Co ty robisz, na głowę upadłeś?! — Nemezis cofnęła się w cień za najbliższym winkle.

Tamci na chwilę przestali. Ofiara jęknęła. Tymian spostrzegł, że była goblinem.

— Co się wpierdalasz, młody? — sapnął jeden z oprawców. — Nie twoja sprawa, ruszaj precz.

Chłopak ani myślał. W skroniach szumiała mu krew, a w głowie tętniła jedna myśl.

Nie był tchórzem.

W kieszeni kurtki wymacał puszkę gazu, podkradzioną ojcu. Chłód metalu wcale nie ostudził emocji. Tymian wpadł w bramę i wyszarpnął rękę z kieszeni, ale bandziory były szybsze. Pierwszy doskoczył do chłopaka, zanim ten zdołał odbezpieczyć gaz, i strzelił Tymiana pięścią w żuchwę. Drugi podciął mu nogi i chłopak łupnął ciężko o ziemię. Zdażył tylko zobaczyć czarne opaski na ramionach mężczyzn. Chyba z Ochotniczych Rezerw Bojowych, czyli uzupełniających służb cywilnych.

Gaz wypadł z ręki Tymiana i potoczył się z grzechotem, póki jeden z oprawców nie podbił go butem w górę. Złapał puszkę i zważył ją w dłoni, a potem spryskał obficie twarz chłopaka. Świat rozbłysł czerwonym bólem i Tymian nie mógł zrobić nic, tylko wic się jak robak, krzyczeć i trzeć powieki, bo nie dało się nad tym zapanować. Wodospad

łał mu się z oczu i z nosa. Słyszał wrzaski i przekleństwa Nem, tępy rechot rezerwistów dobiegał z wielkiej dali.

Oczekiwał na ciosy i kopniaki, te jednak nie nastąpiły.

Nagle zrobiło się cicho. Ciszą nabrzmiewała grozą przez kilka chwil, a potem pękła od krzyków. Krzyczeli zbóje, krzyczała Nemezis, krzyczał i on, choć nie wiedział dlaczego. Z krzykami mieszał się odgłos mlaskania, siorbania i rozdierania, jakby ktoś rwał stare płótna.

— Cicho już, cicho – zaskrzeczał ktoś do ucha Tymiana.

— My ci tego nie zapomnimy. Nigdy nie zapomnamy, przyjacielu goblinów.

Potem dało się słyszeć kroki. Wiele bosych stóp człapało tuż obok Tymiana. A potem znów nastała cisza, ale tym razem pusta i pozbawiona obecności. Chłopak został sam, nadal nie mógł jednak otworzyć oczu. Krwawe, piekące powidoki tańczyły mu pod powiekami.

— Hej, żyjesz? — Kobięcy głos tuż obok.

— Nem?

— To twoja przyjaciółka? Miała więcej rozumu niż ty. Uciekła od razu. Kurde, nie wiem, jakim cudem żeś się uchwował. Daj mi rękę.

Nieznajoma pomogła Tymianowi wstać.

— No, no, już, już. Tu nie ma czego oglądać. Naprawdę nie ma. Nie trzymaj tak tych oczu.

Kobieta poprowadziła go do kamienicy naprzeciw. Zamieniła kilka przyciszonych słów ze stróżem i poprowadziła chłopaka w bramę. Tymian, mimo że niewiele widział, rozpoznał znajomą klatkę schodową; chodził tędy przecież dwa razy w tygodniu na lekcje gry u Naamy. Przeszło mu przez myśl, że obca kobieta również może być katem i że wiedzie go na sąd kapturowy. Nie zatrzymali się jednak na drugim piętrze przed mieszkaniem Ponuraków, tylko dopiero na czwartym.